

— Wie wszystko!
 — A służąca?
 — Służąca nic nie wie, co się stało.
 — Więc po co udała się do Nogent?
 — Ja jej to kazałem. Powiedziałem jej: „Ludwiko, zamordowano moją matkę. Znalazłem ją martwą w pracowni mego ojca!“
 — Gotów więc jesteś na wyznanie wszystkiego przed sądem i na poddanie się karze, jaka cię oczekuje?

— Gotów!
 — Zasłużyłeś na coś gorszego, niż sądowe skazanie — rzekłem gniewnym tonem.

I nie oczekując jego odpowiedzi, siadłem przy małym biurku, stojącym w obramowaniu okna. Zrodziła się we mnie myśl, którą natychmiast postanowiłem wykonać. Spokojnie, bez najmniejszego wahania, bez żadnych przekreślań napisałem do brata żony, sławnego adwokata Marcadiana, który nigdy nie mógł się pogodzić z moim charakterem, następujący list:

„Drogi szwagrze!

Sam wiesz, jak wielką, głęboką miłością kochałem zawsze Gabryelę. To też, gdy teraz dowiesz się, że zabiłem ją, może znajdziesz dla mego rozpaczliwego czynu, a raczej nieszczęśliwego wypadku jakie łagodzące okoliczności.

Ja nie zamordowałem Gabryeli... Ja zabiłem ją... Ta straszna rzecz stała się w ten sposób:

Prosiłem żonę, by mi pozowała przy wykończaniu posągu „Boleści“, nad którym pracuję już od roku... Przystała na to, jak zawsze chętnie i przyznać muszę, że nie jej winą było, jeżeli nie mogła zrobić tego wyrazu twarzy, jaki był mi potrzebny. Nie jesteś artystą i nie doznajesz tych szalonych napadów gniewu, jakie nami owładają, gdy bijemy się bezsilnie z naszym nie dającym się wyrazić marzeniem. W przystępie właśnie takiego ataku niemocy artystycznej i wypływającej z niej wściekłości, rzuciłem młotkiem, który trzymałem w ręce. Czy mam ci przysięgać na wszystko, że młotek ten zupełnie przypadkowo trafił w Gabryelę i strząsnął jej skroń? Czy mam ci przedstawiać obraz mej rozpacz, wyrażać słowami przerażenie, jakie mną ogarnęło? Gabryela padła od razu bez żadnego krzyku, bez ruchu, padła jak masa bezwładna u stóp mej „Boleści“, którąśmy razem tworzyli.

I ten dramat, który spadł na mnie nagle, jak grom z pogodnego nieba, takim bólem mnie przejął, iż gdybym miał broń przy sobie, tą samą bezmyślnym gniewem kierowaną ręką wymierzyłbym sobie sprawiedliwość.

Sprawiedliwość! Tak, mój drogi, jest to słowo, co do którego mamy różne pojęcia... Nie będę tu jednak tłumaczył swojego, lecz błagam cię tylko, jako o największą łaskę, bądź ojcem dla mego ukochanego Polidora i najdroższej Eweliny. Nie śmiem już stanąć przed ich oczyma, choć pozbawiła ich matki nie ma zła wola, lecz bezwiedny z mej ręki rzut młotka. Nie lituj się nademną, mimo iż sprawca takiego mimowolnego wypadku jest godny litości na równi z swą ofiarą... Całe swe uczucie przelej tylko na Polidora i Ewelinę. Liczę na ciebie, iż będziesz opiekował się memi dziećmi, dopóki nie pójdą w życie o własnych siłach.

Barrabas“.

Dałem znak Polidorowi, by się zbliżył.

Odszedł od ściany, przy której stał z błędnym wzrokiem, z obwisłymi rękoma i drżącym całym ciałem.

— Przeczytaj to! — rzekłem mu spokojnie.

Przeczytał list do Marcadiana.

Gdy skończył, konwulsyjne drżenie, jakie nim miotano, ustało zupełnie; oczy jego nabrały zwykłego, niewinnego wyrazu; głos stał się równiejszy... Zapytał mnie:

— Co zamierzasz, ojczu, uczynić?

— A ty? — odparłem.

— Och! Ja!...

Zrobił przytem jakiś dwuznaczny ruch, z którego niczego nie można było domyśleć się... Pod wpływem jednak wewnętrznej myśli, panując zupełnie nad sobą choć postawa jego obecna była w dziwnej sprzeczności z poprzednim osłabieniem, rzekł mi ostrym głosem:

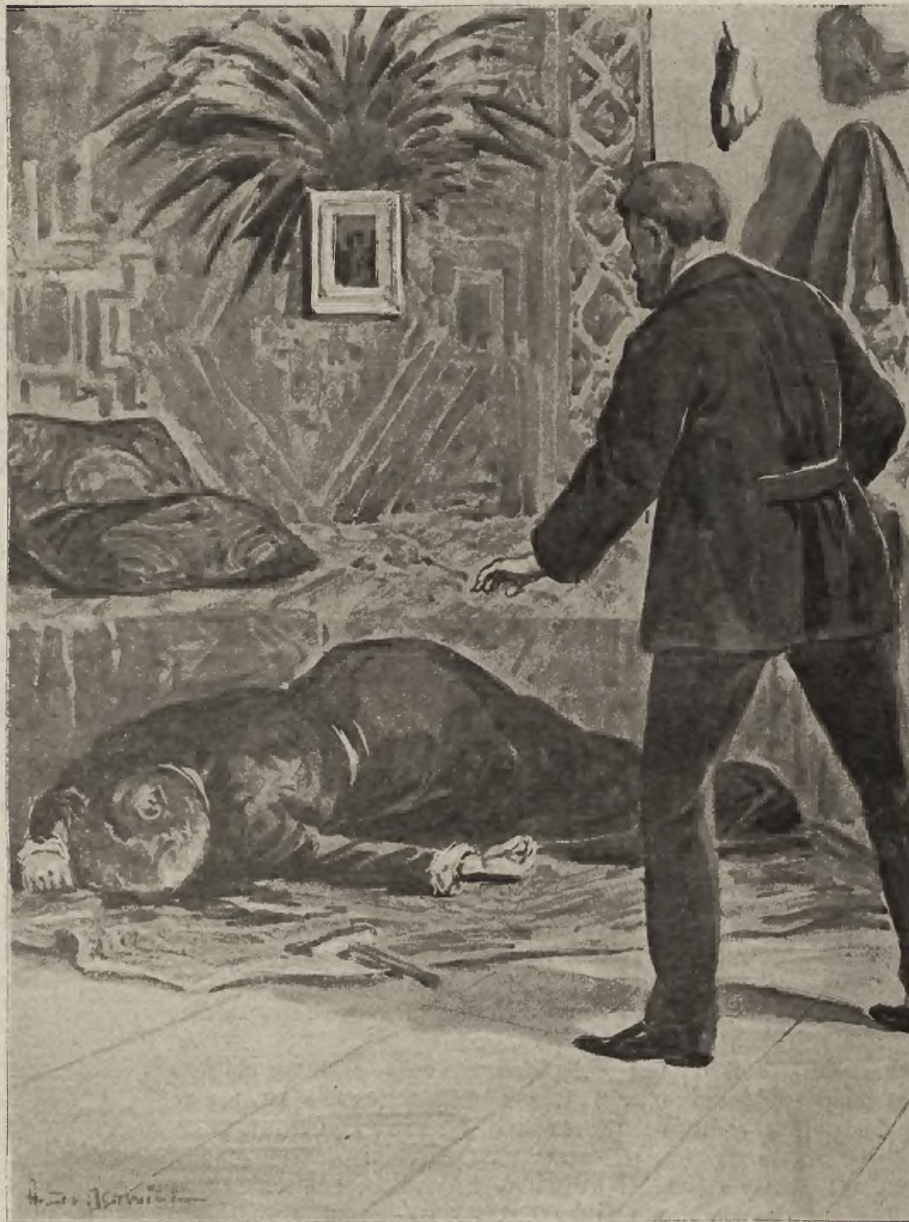
— Daj mi, ojczu, pięć luidorów!

Wzdrygnąłem się cały na te niespodziewane słowa.

Nalegał łagodniejszym już tonem:

— Jeżeli chcesz, bym zaraz z sobą uczynił koniec, będzie to bardzo proste. Samobójstwo me przypiszę rozpacz z powodu „wypadku“, jaki ty zmyślasz!... Lecz czy dobrowolne samobójstwo, do jakiego jestem gotów, może stanowić odpowiednią karę za zbrodnię, jakiej się dopuściłem?... Nie dla zdobycia twej łaski, ojczu, tłumaczę, jak tyś to uczynił w liście, swój straszny postępek, którego istotnej pobudki sam dobrze nie rozumiem, napadłem jakiegoś szalonego gniewu!... A jednak...

— Tak... a jednak — przerwałem — ty kocha-



Wszedłem do mej pracowni i tu przerażający widok przykuł mnie do miejsca.

łeś swą matkę!

Jęknął głęboko, jak człowiek raniony śmiertelnie i powtórzył uparcie:

— Daj mi pięć luidorów.

Wyliczyłem mu natychmiast na biurku pięć złotych monet.

Wziął je i schował starannie do kieszeni. Potem podszedł do zwłok mej ukochanej żony, ukląkł przy nich i gorąco przyłożył swe wargi do zimnych ust swej matki. Czynił widoczne wysiłki, by powstrzymać łkanie, jakie dobywało mu się z piersi. Po kilku chwilach podniósł się nagle... i wyszedł, nie odwracając się, nie żegnając ze mną ani jednym słowem.

Gdy drzwi za nim zamknęły się, nachyliłem się nad cudowną twarzą mej towarzyski życia... i nagle cofnąłem się w przestachu. Jej zaciśnięte usta, które zamknęły się, by nie wyjawiać tajemnicy, rozwarły się pod synowskim pocałunkiem mordercy i uśmiechały się teraz do mnie, jakby chciały dziękować za spełnienie życzenia, za dołożenie starań, by ocalić nasze nieszczęśliwe dziecko. Twarz jej, której nigdy już nie zobaczę, pokryłem lekką jedwabną materią i wyszedłem z pracowni, gdzie niewykonalny posąg „Boleści“ stał jak pomnik nad grobem mej żony. Poszedłem następnie do pokoju

Eweliny... Wziąłem jej małą drobną rączkę w swą dłoń i podniosłem nabożnie do swych ust...

— Bądź zdrowe, dziecko moje! — szepnąłem.

I szybko zbiegłem po schodach. Wyliczyłem, że służąca winna już wkrótce wrócić i że przedstawiciele władzy i sprawiedliwości znajdą za chwilę mój list do Marcadiana.

A jednak wierzyłem nieświadomie w inną sprawiedliwość, w tę, którą mi podyktowały nieme usta mej żony i której tak Polidor jak i ja w sposób, jaki mi następnie okoliczności nasunęły, byliśmy posłuszni.

Udałem się do szopy i przygotowałem samochód do dłuższej na wszelki wypadek podróży. Wyprowadziłem go na drogę, rzuciłem ostatnie spojrzenie na domek, w którym tyle lat spędziłem w szczęściu zupełnym razem z żoną i dziećmi i skąd teraz wyjeżdżałem na zawsze, schwyciłem za kierownik i szybko ruszyłem naprzód.

II.

Tego szczerzego i prawdziwego opowiadania o mej niezwykłej przygodzie — muszę wyznać — nie pisałem dla usprawiedliwienia swego nierozsądnego postępowania, lecz tylko „ze względu na umarłą“. Jakież w istocie mogę dać usprawiedliwienie tej ucieczki bez myśli i bez żadnego określonego celu? Ucieczka Polidora, o której dowiedziałem się dopiero później, była prawie że rozsądna, o swojej jednak i tego nie mogę powiedzieć.

Przekonałem się o tem w Lagny, gdzie zatrzymałem się na śniadanie. Gorączka, jaką poczułem w sobie po doznanych przestachu, ustąpiła już w znacznej mierze. Zacząłem zastanawiać się nad wszystkimi następstwami swego listu do Marcadiana i rozważać wszelkiego rodzaju niemożliwości, jakie sam na siebie dobrowolnie ściągnąłem. Nie dosyć było oznajmić: „jadę i już mnie więcej nie zobaczycie“, lecz należy zwłaszcza teraz, gdy powrócił rozsadek, rozpatrzyć się w danych, jakie mam dla urzeczywistnienia tego projektu i w przeszkodach, jakie mnie czekają. W razie nawet tego nieprawdopodobnego wypadku, iż do jutra nie zostanę aresztowany, to i wtedy nie będę miał co czynić, rozporządzając tylko swym małym samochodem, niezdadnym do większych podróży.

Jest to jednak tylko drobnostka w całej tej sprawie. Jeżeli nawet uda mi się przekroczyć granicę i zostawić za sobą ciekawą policję, to dokąd to mnie doprowadzi?... Przy sobie mam tylko tysiąc franków!... A co potem? Doszedłem do tego wniosku, że moja ucieczka była idyotyczną, że jak zawsze w pierwszym przystępie podniecenia kierowałem się tylko nerwami, a nie rozsądkiem. Trzeba więc to naprawić! Zdecydowałem się od razu jechać do Paryża, udać się wprost do swego szwagra Marcadiana i jego

jako sławnego adwokata prosić o radę.

Chcę tu wyznać zaraz już po tych wszystkich strasznych doświadczeniach, jakie mnie oczekiwały i które zniósłem więcej niż z heroizmem, że w istocie myślałem o samobójstwie. Jeżeli nie wykonałem swego zamiaru, to nie z tchórzostwa, lecz tylko z chęci dowiedzenia się, co stało się z Polidorem. Jedyne ciekawość uchroniła mnie od śmierci i ona tylko skłoniła mnie, bym kroki swe skierował przede wszystkim do Marcadiana.

Pojechałem więc do Paryża i po bezcelowym skreśnianiu się do Maux, zatrzymałem się koło czwartej po południu na ulicy Michel Ange w Auteil przed pałacikiem swego szwagra.

(Ciąg dalszy nastąpi)